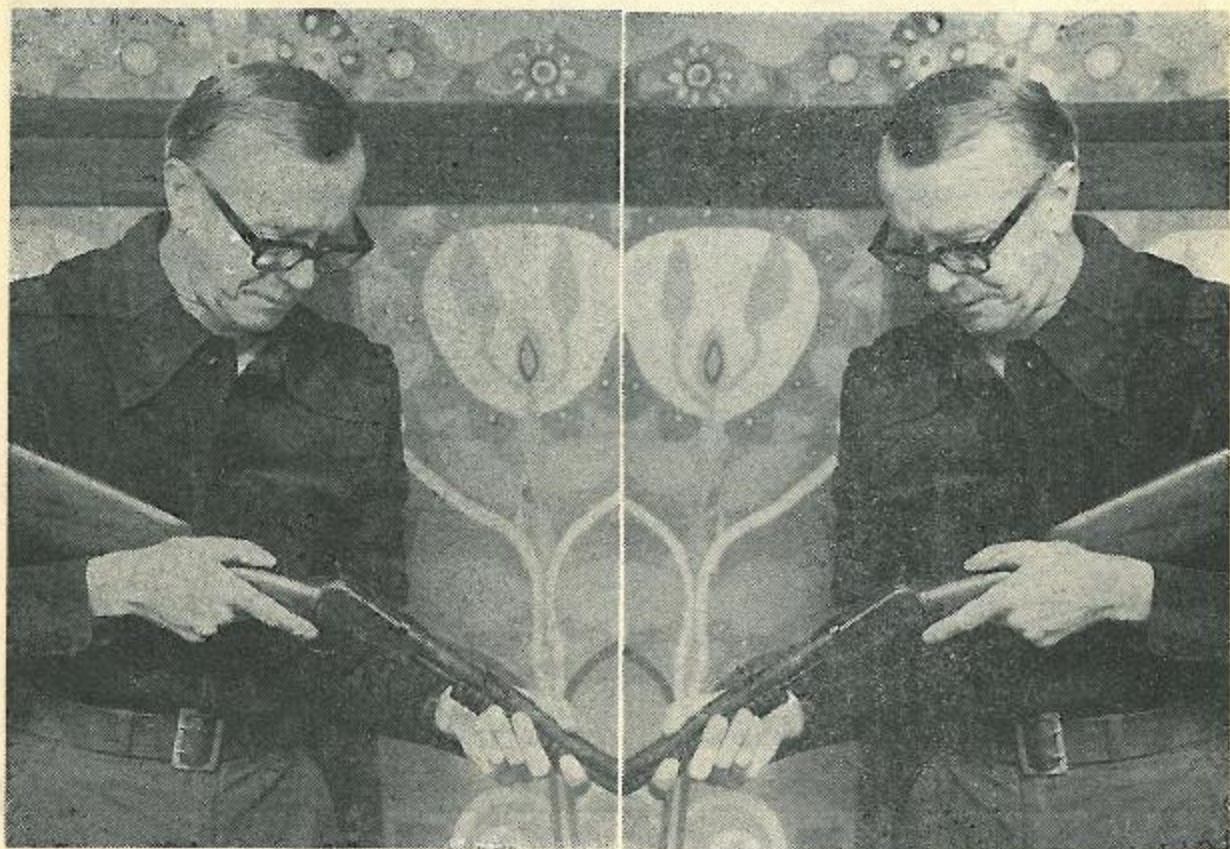


ZBIGNIEW NIENACKI

Olsztyn Literacki

Warmia i Mazury Nr 7 (lipiec) 1978 wstępnie

Sam na



Przez kilka lat byłem dziennikarzem i w tym czasie przeprowadziłem z różnymi ludźmi dziesiątki rozmów i wywiadów. Kiedy je dziś przeglądam, odnoszę wrażenie, że przypominają paczuszkę waty, w którą opakowano może jedno lub dwa słowa prawdy. Potem — z różnych względów i z powodu różnych okoliczności — i ja sam udzieliłem wywiadów. I znów kiedy je przeglądam, nie budzą mojej satysfakcji. Nawet gdy czytam tom wywiadów Teresy Krzemiń, tak przecież interesujący, dostrzegam na różnych stronicach próbę ominięcia prawdy, wygania się od niej. Bo wielu z tych ludzi znam osobiście, wiem, że nie mogli tak powiedzieć jak powiedzieli. Może już w momencie, gdy z kimś zaczynamy rozmawiać i ten ktoś notuje nasze słowa, przyjmujemy jakąś pozę, która oddala nas od szczerości? A może to indywidualność rozmawiającego z nami, sposób w jaki nas pyta, niekiedy każe bezwiednie ukryć to, co najważniejsze i powoduje, że w jakiś sposób poddajemy się osobowości pytającego. Czy zresztą pełnia szczerości jest w ogóle możliwa do osiągnięcia? Ostatnio czytałem kilka książ-

zek napisanych w formie wywiadu z sobą samym, dokonanych przez różnych artystów; wrażenie szczerości, intymnego obcowania z rozmówcą jest większe, ale zarazem może to jeszcze jedna pułapka, w którą ma się dać złapać czytający? Myślę jednak, że takie rozmowy z sobą samym nie są tylko formą literacką czy dziennikarską, ale pozostają nieodłącznym elementem życia każdego artysty czy pisarza. Rozrachunek z sobą samym towarzyszy każdemu twórczemu działaniu i w tym sensie rozmowa z sobą samym nie jest wcale oznaką jakiegoś rozszczepienia osobowości, schizoidi, lecz po prostu wyrazem samokrytycyzmu, samokontroli. Wydaje mi się, że człowiek, który nie usiłuje i nie potrafi porozumieć się z sobą samym nie tylko poprzez „zapomniany język”, że przypomnę Ericha Fromma, ale na płaszczyźnie świadomości — nie jest jeszcze w pełni dojrzały, a także nie zdola naprawdę porozumieć się z nikim innym. Zresztą, cóż to jest owa „dojrzałość”? Co kryje się za określeniem, jakże często spotykanym w prasie — „dojrzały artysta”, „dojrzały człowiek”? Ostatnio na la-

Sam ze sobą



mach „Warmii i Mazur” trwała dyskusja o dojrzeniu młodzieży. Czy dojrzewa wcześniej niż kiedyś pod względem biologicznym, czy dojrzewa później niż kiedyś pod względem społecznym, i czy coś z tego faktu wynika.

Ta dyskusja to jeszcze jeden przykład, że najlepiej się dyskutuje, gdy dyskutanci wzajemnie siebie nie słuchają i używają mało precyzyjnych albo zbyt pojemnych określeń. Takim właśnie zbyt pojemnym pojęciem jest „dojrzałość”. Używając tego słowa, niemal każdy ma co innego na myśli i stąd wiele nieporozumień. Moim zdaniem, gdy mówi się słowo „dojrzały”, to trzeba jednocześnie zapytać „dojrzały — wobec czego, wobec kogo, do jakich spraw?”. Na przykład w pojęciu naszego prawa dziewczyna, która ukończyła 15 lat, jest już dojrzała do życia erotycznego i mężczyzna, który nawiązuje z nią tego rodzaju kontakty, nie podlega karze. Inaczej do tej sprawy podchodzą lekarze, że powołałam się na dr Imielńskiego i jego „Seksuologię kliniczną”, kwestionując prawo kar-

ne, uważając, że tylko oni — lekarze — są powołani do oceny, czy ktoś jest dojrzały do życia erotycznego, czy też nie. Bo zdarza się, że ta czy owa trzynastoletnia czy czternastoletnia dziewczyna jest z punktu widzenia medycyny już dojrzała do takiego życia, a nie jest dojrzała dziewczyna siedemnastoletnia, choć nasze prawo przestało otaczać ją ochroną. Ja, na przykład, uważam, że naprawdę stałam się dojrzałym człowiekiem, gdy zbliżałam się do 35 roku życia. Wtedy to w pewien sposób wypełnił się krąg moich doświadczeń, tych najbardziej pięknych i wzniosłych, i tych najbardziej bolesnych i tragicznych, nabrałam dystansu wobec wielu spraw, wydaje mi się, że moja samoświadomość także nabrała wtedy pełni. W tym to czasie, jak sądzę, zrozumiałam jakim człowiekiem jestem naprawdę, do czego się nadaję, do czego powinienem dążyć, zacząłem także rozumieć innych ludzi, lub, jak sądzę, zaczęło mi się wydawać, że ich rozumiem. Znam wielu ludzi, o których mógłbym powiedzieć, że są niedojrzali, mimo że ukończyli 50 lat. Niektórzy, być może, nigdy nie dojrzeją pod wzglę-



dem poczucia obowiązku. Co do mnie, jak powiadam, dojrzałem naprawdę do życia w społeczeństwie w wieku prawie 35 lat. Wtedy to opuściłem Łódź i przeniósłem się na wieś, do ukrytej za lasami wioski mazurskiej.

Czy to nie ironia? Czy to ma być owa szczerłość, gdy mówi się, że dojrzało się do życia w społeczeństwie, a jednocześnie ucieka się od swego środowiska, kupuje dom nieomal na pustkowiu, ogradza go wysokim płotem, nikogo nie chce się widywać, z nikim spotykać?

Nie ma w tych faktach żadnej sprzeczności. Aby dobrze czuć się w społeczeństwie, nie popadać z nim w konflikty, trzeba znaleźć dla siebie jakiś „modus vivendi”, określić zasady współżycia. Jeśli ktoś nie lubi dźwięku puzonu, powinien starać się nie mieszkać w sąsiedztwie puzonisty. Jeśli ktoś — tak jak ja — nie lubi tłoku i hałasu, które powodują w nim irytację, frustrację, konfliktowość, winien w miarę swych możliwości szukać dla siebie warunków optymalnych, w moim przypadku było to odosobnienie, sąsiedztwo przepastnych lasów i ogromnych jezior. Mówiąc o tak zwanej depresji cywilizacyjnej, prof.

Kępiński zwrócił uwagę, że poczucie samotności u współczesnego człowieka być może wynika z faktu, że właśnie nigdy nie może być sam, otacza go zawsze mrowie ludzkie. Być może pozostając w Łodzi zachorowałby na ową „depresję cywilizacyjną”, a na pewno miałem okropne poczucie samotności, wydawało mi się, że jestem jakby jedną wielką raną, która nieustannie boli. Tutaj na wsi, żyjąc samotnie, nie mam poczucia samotności, a przeciwnie, czuję, jak bardzo jestem związany z innymi ludźmi, jak bardzo są mi oni potrzebni, i dla wielu — ja jestem potrzebny. A poza tym, bądźmy szczerzy, nie należę do ludzi, których można polubić od pierwszego wejrzenia, nie jestem na co dzień, jak to się mówi, sympatyczny. Mam wiele cech, które w sobie cenię i pielęgnuję, ale które — rozumiem to także — mogą się innym nie podobać. Więc najlepiej schodzić tym ludziom z oczu. Nie tak dawno musiałem opuścić swoją wieś i przez kilkanaście dni przebywałem na imprezie, którą określiłbym czymś w rodzaju „literackiego spędu”. Po kilku dniach powiedział mi mój przyjaciel: „Wracaj na wieś, bo nie robisz tu dobrego wrażenia. Po pierwsze: nienawidzisz alkoholu i każdy, kto w twoim towarzystwie chce wypić choćby szklaneczkę piwa, ma poczucie, że popełnia zbrodnię. Po drugie: nie ukrywasz, że o wiele bardziej obchodzi cię, kto w twojej wsi zostanie wybrany na sołtysa, niż kto wejdzie do Zarządu Głównego ZLP. Po trzecie: zbyt często powtarzasz, że jesteś zawodowcem i nienawidzisz amatorstwa. Po czwarte zbyt często powtarzasz, że do pisarstwa potrzebny jest nie tylko talent, ale i wiedza o człowieku, a nikt tego słuchać nie lubi. Po piąte: ciągle usiłujesz rozmawiać o literaturze z ludźmi, którzy woleliby dyskutować o stawkach autorskich i honorariach”. Nie miałem powodów, aby nie wierzyć przyjacielowi, przerwałem swój pobyt na owej imprezie i powróciłem na wieś. Bo takich jak ja bardziej się ceni i szanuje, niż lubi.

Jedenaście lat samotności. Jedenaście lat — prawie żadnych kontaktów z innymi pisarzami, z własnym środowiskiem. Czy w takiej sytuacji nie rodzi się niebezpieczeństwo, że traci się w jakiś sposób perspektywę spraw ogólniejszych, najważniejszych, pisarz staje się prowincjuszem, a to co pisze jest zaściankowe, ciasne, mało istotne? Jedenaście lat samotności — i raptem powieść „Uwodziciel”, która jest zarazem programem postawy życiowej, zaprzeczającej w pewien sposób własnemu modelowi życia. Książka ta przeciwstawia schizofrenicznej postawie życia „do siebie”, sytoniczną postawę „od siebie”, życia dla innych. Czy nie kryje się w tym jakaś przewrotność? Radzić innym żyć „od siebie”, a samemu korzystać z komfortu jakie daje jaccardowskie „wygnanie wewnętrzne?”

Nie potrafię dać definicji prowincjonalizmu, ale znam wiele jego przejawów. Na przykład, jeśli w jakimś środowisku kilkunastu panów umówi się ze sobą, stosując sobie tylko znaną hierarchię spraw i tajemnicze kryteria wartości: ja jestem wielki, ty jesteś trochę mniejszy, on jest jeszcze mniejszy, tamten też jest duży, ale trochę mniejszy, tamten się nie liczy itd. itp., a potem ta grupa osób zacznie postępować i zachowywać się zgodnie z tą swoją własną hierarchizacją, stworzy swoją własną obyczajowość, swoje tabu i swoje kody, nie mające żadnego odniesienia nie tylko w rzeczywistości, ale i w ogólnie społeczeństwie przyjętej obyczajowości i hierarchizacji, to mamy wtedy do czynienia z klasycznym zjawiskiem prowincjonalizmu. Wówczas zdarza się, że ktoś jest bardzo wielki w Łodzi, ale nie liczy się w Krakowie, bo w obydwu tych ośrodkach panuje inna hierarchia wartości, sobie tylko właściwa. I gdy w ten sposób spojrzysz na tę sprawę, to może raptem okazać się, że, na przykład, warszawskie środowisko literackie jest najbardziej prowincjonalne, stworzyło bowiem własną hierarchię ważności i wartości, nie przylegającą w żaden sposób do rzeczywistości w Polsce. Wystarczy otworzyć pisma literackie, ukazujące się w Warsza-

wie, aby przekonać się, że kilkunastu panów dyskutuje tam ze sobą o sprawach, które nikogo poza nimi nie obchodzi. Czy są dla nich inne ważne sprawy, poza tymi, co do których się umówili, że są ważne? Może i są. Ale cechą prowincjonalizmu jest nieprzyjmowanie tego do wiadomości, życie w poczuciu, że ważne dzieje się tylko u nas i w nas, ale nie dzieje się nic poza nami. Gdyby nie mieli takiego poczucia — oczywiście nie byłiby prowincjonalni. W centralistycznym modelu kultury prowincjonalizm stołeczny byłby być może niezauważalny, gdyż nie istniałaby żadna inna rzeczywistość poza tą jedną, uzewnętrznąoną. Ale u nas ten model przestał się liczyć, od dawna rozsądziły go potężne ambicje regionalne, niemal każdy większy ośrodek w kraju posiada własne wydawnictwo, własne pismo kulturalne, własną stację radiową i telewizyjną, własny teatr, własną gazetę — jedną albo i dwie czy trzy. I posiada oczywiście własną hierarchię wielkości i ważności spraw. W takiej sytuacji to, co w warszawskim środowisku wydaje się dramatyczne, pompatyczne, wzniosłe, z punktu widzenia Olsztyna czy innego miasta — wydaje się po prostu blahe a samo środowisko prowincjonalne ze swoimi fobiami, animozjami, układami towarzyskimi. Owszem, w Warszawie zapada jeszcze wiele poważnych decyzji w sprawach kultury, ale na tak niskim szczeblu jak mój nie mają one żadnego praktycznego znaczenia, po prostu mnie nie dotyczą. Jak nie zechce opublikować mi książki wydawnictwo warszawskie, to spróbuję w Łodzi, a jak nie zechcą w Łodzi, to spróbuję w Olsztynie, albo na odwrót. Jakie to ma znaczenie? Rzecz jasna, zdaję sobie sprawę, że stolica może odgrywać wielką kulturotwórczą rolę, ale pod warunkiem, że będzie służyła nie tylko wobec siebie, ale i wobec tego co nazywa prowincją, będzie starała się integrować poszczególnie środowiska literackie i kulturalne. Na to jednak się nie zanosi. Póki więc co, mogę sobie być prowincjonalnym pisarzem, byłem tylko miał czytelników w całej Polsce.

Ale prowincjonalizm ma jeszcze wiele innych przejawów.

Oczywiście. Jednym z nich jest staranie się, aby za wszelką cenę nie być prowincjonalnym, ale ogólnoeuropejskim, ogólnoswiatowym. Warto zwrócić uwagę, jak rzadko prowincjonalny krytyk literacki czy teatralny pisze z zachwytem o wystawionej w jego teatrze sztuce, o własnych aktorach, o swoich pisarzach. Bo lęka się, że inni posiadzą go o prowincjonalizm, że nie był nigdy w Paryżu albo w Londynie. Więc porównuje każde wydarzenie kulturalne w swym regionie z wydarzeniem na innej półkuli, aby przekonać wszystkich, że on ma szeroką skalę porównawczą. Mógłbym setki takich przykładów podać z Olsztyna, Łodzi, z Gdańska, ale najlepiej zrobię, jeśli poprzestaną na własnych przykładach, bo może mniej ludzi się obrazi. Pamiętam, że kiedyś otrzymałem z „Globu” zbiór wycinków o telewizyjnym serialu dla dzieci, który został zrobiony według mojej powieści „Pan Samochodzik i Templariusze”. Nie wiem, czy to był dobry czy zły serial, nie o to chodzi. Wiem tylko, że w całej polskiej prasie pisano o nim ciepło, a jedyną miążdzącą recenzję dał kol. Segiet w „Gazecie Olsztyńskiej”, myląc zresztą nazwiska występujących w tym serialu aktorów... Pamiętam, przed wieloma laty napisałem powieść osnutą na tle dziejów kolegiaty w Tumie pod Łęczycą. Książka miała wspaniałe recenzje, oprócz jednej, miążdżącej, w miesięczniku kulturalnym... „Ziemia Łęczycy”. Pisząc o jakiejś małej miejscowości ma się nadzieję, że tam się z tego ucieszą, podziękują ci, a przynajmniej potraktują z przyjaźnią, a jest przeciwnie, oni ci dopiero przyłożą: „wara ci, gnojku, od naszych spraw, już my ci pokażemy, żebyś nie myślał, że jesteś taki wielki, jak to sobie wprawiasz”. To jest właśnie prowincjonalizm. Inny przykład: otrzymuję setki zaproszeń i listów z różnych bibliotek i szkół z prośbą o przybycie na spotkanie z czytelnikami. Proszę sobie wyobrazić, że nigdy nie otrzymałem zaproszenia na spotkanie autorskie, w szkole, we wsi, gdzie mieszkam, w mojej wioskowej bibliotece, do szkoły zbiorczej w Zalowie, która jest moim ośrodkiem gminnym. Powstałe bó-

wiem prowincjonalny problem, kto jest ważniejszy i kto ma do kogo przyjść pierwszy? Dyrektor szkoły do pisarza, czy pisarz do dyrektora szkoły. Ot i szkopały. Sytuacja wygląda zupełnie inaczej, gdy pisarz mieszka na drugim krańcu Polski, bo wówczas można do niego napisać list, a to ujmę nie przynosi. A że tam pod bokiem jest może jakiś pisarz — to nieważne. Ten z daleka będzie na pewno lepszy. W mojej więc wiosce spotkania autorskie odbyło paru moich przyjaciół pisarzy — ale nie ja. Ja jeżdżę tam, gdzie oni mieszkają. I tak jest życie... Ale czy lepiej jest w Warszawie? Większość listów od czytelników otrzymuję z Warszawy, tam też rozchodzi się większość nakładów moich książek. Nigdy jednak nie otrzymałem zaproszenia z warszawskiej miejskiej lub wojewódzkiej biblioteki. Mogę wierzyć pewnej pani, która mi powiedziała, że oddział warszawski ZLP zastrzegł sobie, aby nie zapraszano żadnego pisarza z prowincji, bo i tak pula honorariów jest za mała dla potężnej rzeszy pisarzy warszawskich, ale ja wolę wierzyć, że po prostu dżelci w Warszawie nie chcą się ze mną spotykać w Warszawie, a wolą, jak co roku, albo przyjeżdżać do mnie autokarami, albo też pielgrzymować latem z plecakiem, bo to i pisarza się spotka, i okolica piękna. I jeszcze jedno. Najzabawniejszym utworem, który ostatnio czytałem, była „Kronika szkolna wsi Jerzwałd”, w której mieszkam od 11 lat. W tej kronice można znaleźć wszystko — który nauczyciel się upijał, który został inspektorem, notabene ten co się upijał, gdzie i dokąd peregrynowały dzieci, ale na próżno szukać tam choćby wzmianki, że w tym a tym roku w tej wiosce zamieszkał pisarz dla młodzieży nazwiskiem Zbigniew Nienacki. Co wynika z tego faktu? Po prostu, uczy to skromności. Okazuje się, że fakt mojego zamieszkania w tej małej wiosce praktycznie nie ma żadnego znaczenia dla jej mieszkańców, dla życia szkoły, dla grona nauczycieli, jeśli więc niekiedy myślałem, że coś tutaj znacze, to wiem teraz, w jakim byłbym błędzie. A po drugie, co są warte badania historyków, oparte na różnego rodzaju „kronikach szkolnych”, materiałach oświatowych z dawnych lat, skoro przemilczą one dość istotne fakty? Jeśli za sto lat jakiś nowy Edward Martuszeński zechce opisać życie na Mazurach na podstawie kronik szkolnych, to z całą pewnością na moje nazwisko nie natrafi. Nie spędza mi to snu z powiek, bo przecież jednak jakiś ślad pozostawię, zapis u reagenta, że kupiłem dom i 2,3 ha ziemi we wsi Jerzwałd. A to dużo jak na pisarza...

A jednak dostrzec można jakąś wyraźną sprzeczność w mojej osobowości. Ten wysoki płot wokół posiadłości, ten dom z grubymi kratami w oknach, przypominający areszt, więzienie lub twierdzę, ten ogromny wściekły pies biegający po podwórzu. Złośliwi mówią, że kładę się spać z nabitą bronią u boku. A zarazem na różnego rodzaju zdjęciach publikowanych w prasie widać miętno starszego pana, w białej żeglarskiej bluzie, uśmiechniętego, wspierającego się beztrząsco o maszt swojego jachtu. Która osoba jest prawdziwa?

Wszystkie. Wydaje mi się, że jestem człowiekiem przyjaźnie nastawionym do ludzi, wesołym, pogodnym, zrównoważonym, ufnym, gościnnym. Rad zawsze witam przybycia czy wędrowca. Ale jednocześnie tkwi we mnie poczucie jakiegoś zagrożenia, które pozostało we mnie jeszcze z czasów młodości. Miał kto o tym wie, ale przed niespełna trzydziestoma laty paru pisarzy wydało na mnie wyrok śmierci, fizycznej i duchowej. Jedyny ślad jaki pozostał po tym zdarzeniu, to fakt, że piszę pod pseudonimem. Ciekawe, że nigdy jakoś żaden dziennikarz nie zapytał mnie, dlaczego właśnie uprawiam twórczość nie pod własnym nazwiskiem? — Czy dlatego, że ludzie, którzy mnie skazali — żyją, działają, usiłują być „sumieniem swego narodu”, szermują hasłami o wolności pisarskiej? O swobodach obywatelskich? Nie wymienię ich nazwisk — choć to wielkie nazwiska — aby nie myślnie, że jestem przeciw ich poglądom i hasłom, że wykorzystuję sytuację, aby się na nich odgryźć.



Sprawa przedstawia się prosto. We wczesnej młodości byłem, jeśli wolno się tak określić, „ortodoksyjnym komunistą” ze wszystkimi tego faktu konsekwencjami, to znaczy w żaden sposób nie potrafiłem zaakceptować tzw. „kultu jednostki”. Nie ukrywałem tego. Pewnego dnia w 1950 roku, gdy miałem 21 lat i pierwszą swoją powieść młodzieżową złożoną do druku w „Czytelniku”, wezwano mnie do redakcji ówczesnej „Nowej Kultury” i oświadczone, że nigdy w życiu w tym kraju niczego nie opublikuję, co powyżej mogę iść pracować jako pomocnik murarski na budowie. I tak się stało. Z tym tylko, że byłem chory na płuca i nie mogłem pracować na budowie. Ktoś młody pomyśli, że takie wtedy były czasy. Rzecz w tym, że to nieprawda. Bo udało mi się na szczęście dostać wówczas do pewnego dygnitarza partyjnego, który zobaczywszy mnie i zapytawszy, ile mam lat, z ubolewaniem pokławił głowę i rzekł, pamiętam, jakby to było dziś: „Nie jestem w stanie zmienić decyzji towarzyszy z „Nowej Kultury”. Ale przecież możecie pisać pod pseudonimem. I zróbcie to”. I próbowałem, ale długo mi to nie wychodziło, bo tamci mieli jednak długie ręce, ale na szczęście dla mnie ten dygnitarz załatwił mi pracę w gazecie, i miałem z czego żyć. Aż pewnego dnia ci panowie, którzy wydali na mnie wyrok, przyszli do tego dygnitarza i rzucili mu na stół swoje legitymacje partyjne, bo był to czas tw. „odwilży” i oni nagle znowu poczuli się dobrze w roli oskarżycieli i sędziów, tylko że z innych pozycji. I wtedy mogłem nareszcie wydać swoją pierwszą książkę, choć i to nie odbyło się bez interwencji osobistej Leona Kruczkowskiego. W sprawie następnej mojej książki interweniował Jerzy Putrament — ten dawny, wspaniały, nie ten obecny, re-

daktor „Literatury”. I dalej szedłem już o własnych siłach. Moi dawni oskarżyciele do dziś wciągają na siebie togi sędziowskie w coraz to innych kolorach, od czasu do czasu dochodzą mnie ich „wyroki”, a to, że jestem „taki”, to że „owaki” klasyfikują, określają. Ale co to może obchodzić człowieka, który mieszka za tak wysokim płotem jak ja, i ma złego psa na podwórzu? Po tamtych latach pozostał mi tylko pseudonim i tkwiące gdzieś na dnie psychiki poczucie zagrożenia. Ale myślę, że i to poczucie minie. Mam też od czasu do czasu trudności z zamieszczeniem jakiegoś tekstu w warszawskim piśmie literackim, bo jestem tam „zaklasyfikowany” i „zaopiniowany”, ale jak wspominałem, w Polsce jest dużo różnych możliwości. Jak mi esaju pt. „Czy schizofrenizacja literatury” nie zamieścili „Polityka” i „Literatura”, to zabił to „Miesięcznik Literacki”, jak „Miesięcznik Literacki” i „Literatura” odmówiły wydrukowania esaju „W cieniu zakwitających dziewcząt i chłopców”, to mi go wydrukowały „Warmia i Mazury”, a cieszył się takim powodzeniem, że jak pamiętamy, trzeba było wydrukować dodatkowe egzemplarze. Najgorsze jest to, że wysłesz artykuł czy esej, dołączysz list do takiego pana jak Kijowski, Koprowski, czy Horodyński i w ogóle nie dostaniesz odpowiedzi. Po prostu odczyli się pisać. I co im zrobisz? Nic. Ale myślę, że jeśli ja mam płot, to oni odgradzili się wysokim murem. Jak się żyje za takim murem, to nie trzeba być nawet dobrze wychowanym. Różnica jednak między mną i nimi polega na tym, że mój płot ogradza prywatną posiadłość, a oni żyją na państwowych posiadłościach i biorą pieniądze za to, żeby przynajmniej odpowiadać na listy takich ludzi jak ja.

Jedenaście lat odosobnienia. Jedenaście lat samotności. Czy to dużo czy mało? Czy coś w ogóle z tego wynika?

Dla mnie wynikało bardzo wiele. Miałem dużo czasu, aby czytać, zająć się studiowaniem tak zawsze mnie pasjonującej medycyny, a przede wszystkim psychiatrii. Tu tutaj nauczyłem się pokory wobec literatury, zrozumiałem, że uprawianie literatury to coś w rodzaju zabawy w „ciuciubabkę”, grupa pisarzy i krytyk krąży z zawiazanymi oczami i wyciągniętymi przed siebie rękami. Jednym słowem taka zgadywanka, kto jest kto, i jaką wartość tworzy. Jestem pełen podziwu dla krytyków, dla recenzentów, dla ich szalonej odwagi w wydawaniu sądów i wyroków. Zapewne ratuje ich krótka pamięć o historii literatury i historii krytyki, mało kto zagląda do starych czasopism literackich, aby skonfrontować dawne sądy krytyków, i dzieła, które przetrwały próbę czasu. To zabawne, ale tak naprawdę krytycy niemal zawsze się mylili. Dlaczego? Może dlatego, że są ludźmi za bardzo tkwiącymi w swojej epoce, w swoim czasie i podobają im się zawsze dzieła, które przylegają do „mody literackiej”, a pisarze, wiedzeni niekiedy intuicją, czują czas, który nadejdzie, przeczuwają zapotrzebowania psychiczne, które już drażą społeczeństwo, ale jeszcze się nie ujawniły. Właśnie czytam teraz „Małe dialogi filozoficzne” Chamforta. Pomyśleć, że był to autor, na którego spadły nagrody licznych znawców literatury, akademii literackich za „listy”, komedie, pseudoklasyczne „Pochwały” i rozprawy wierszem. I wszystko to, jak się mówi, pokrył kurz niepamięci. Do literatury wszedł malutki zeszytek, który wydobyło z szuflady, po śmierci autora, rzecz, która nie budziła dawniej niczyjego uznania, nawet sam autor nie przywiązywał do niej wagi. Są to właśnie „Małe dialogi filozoficzne”. Bywa tak, że mijają dziesięciolecia, zanim utwory przewartościują się, jedne umrą na zawsze, inne na jakiś czas, inne nagłe zostają „odkryte”. Te wielkie młyny historii literatury miały bez przerwy, gubiąc i miażdżąc jedne dzieła, a jednocześnie wydobywając z niepamięci jakieś dawne utwory, potem znowu je gubią, znowu wydobywają albo już niszczą na zawsze. Myśl o owych „młynach” napęla smutkiem, ale zarazem radością, że być może dokonuje się po jakimś czasie swoista sprawiedliwość. Choć, czy to naprawdę sprawiedliwość? Ale to daje pisarzowi poczucie spokoju, nie irytuje się tak bardzo jedną czy drugą złą opinią, staje się wyrozumiały

nawet dla tych, co na niego napadają. Ja miałem w życiu kilku takich chwil satysfakcji. Pamiętam ową recenzję w „Ziemi Łęczyckiej” z dnia 31 stycznia 1959 roku o mojej pierwszej powieści dla młodzieży. Recenzent Jan Bury tak o mojej książce napisał:

„Jak można wnioskować z powyższych uwag powieść Zbigniewa Nienackiego nie wejdzie do historii literatury polskiej. Lecz przeczytać ją warto, choćby po to, aby się przekonać, jak nie należy pisać powieści”.

Chciałbym kiedyś usiąść z tym człowiekiem w swoim domu przy kominku, po prostu popatrzeć na niego, zapytać, czy jeszcze pisuje recenzje, jak mu się żyje, czy naprawdę szczerze napisał to, co myślał. Porozmawiać bez żalu i urazy. Oczywiście napomykałbym mu, że ta wyśmiana przez niego książka miała ileś tam wzniości i dziesiątków tysięcy egzemplarzy, w ubiegłym roku fragment jej wszedł do podręcznika nauki języka polskiego dla szkół podstawowych, dzieci uczą się i na tej książce swego ojczystego języka, czyli w pewnym sensie już weszła do historii literatury, choć on twierdził, że nie wejdzie. Wspominam o tym nie po to, aby się pochwalić, czy wyrazić na piśmie jakąś satysfakcję, ale aby się przyznać, że co do mnie — nie miałbym odwagi o żadnej książce powiedzieć albo napisać, że „nie wejdzie do historii literatury”, albo „na tę książkę szkoda było papieru”. Może to dojrzałość odebrała mi tę odwagę, a może większa świadomość, że literatura nieustannie sprawia nam niespodzianki, ale przecież odważni zawsze się znajdują. O mojej ostatniej powieści tak napisał w wewnętrznej recenzji wydawniczej pewien krytyk:

„Sądzę, że w sytuacji, gdy brakuje papieru na wartościowe książki, poświęcenie puli wydawnictwa i otaczanie opieką edytorską tego niestrawnego „cocktailu” z bezbarwnej fabuły i wytlóków intelektualnych, byłoby lekkomyślną rozrzutnością i szkodliwą polityką. Wnoszę więc raz jeszcze o odrzucenie tej książki i spisanie na straty tych świadczeń, jakie z tytułu umowy zostały autorowi przekazane”.

Nawet nie proponuje rozmowy z autorem, zmian, poprawek. Te „wytloki intelektualne” trzeba odrzucić, zdeptać. Zresztą po co ukrywać nazwisko tego krytyka, skoro mam na biurku podpisaną przez niego recenzję. Nazywa się Jerzy Rzymowski z Łodzi, zapewne gotów jest odpowiadać za to, co napisał. Książka, o której w ten sposób sformułował swój sąd, ukazała się już albo lada dzień ukaże na półkach księgarskich. Ciekawe, czy w którymś z czasopism literackich powtórzy swój sąd, opublikuje tę swoją recenzję? Oczywiście, nie. Po prostu dlatego tego nie zrobi, że żadne szanujące się pismo nie wydrukuje recenzji napisanej w tym stylu, zażąda analizy utworu a nie steku inwektyw, w rodzaju „wytloki intelektualne”. Ale w recenzji wydawniczej, gdy tekst pozostaje tylko między trzema osobami: wydawcą, autorem i recenzentem, można sobie na wszystko pozwolić. A czy tak być powinno? Czy szanujący się wydawca nie powinien zwrócić takiej recenzji krytykowi i poprosić go, aby zamiast inwektyw dał analizę tekstu, a wnioski co do wydania i polityki wydawniczej zostawić już redaktorom wydawnictwa? Ale niestety, tak się nie dzieje. Jest paru krytyków, którzy publikują bardzo grzeczne i układne recenzyjki, ale wyżywają się w t.zw. „recenzjach wydawniczych”. Tam dopiero dają upust swej frustracji, złości, nienawiści, bo są świadomi swej bezkarności. Nie twierdzą zresztą, że moja książka jest wspaniała, genialna i tym podobne, zapewne spotyka się z różnymi przyjęciami tak u krytyków jak i czytelników. Maszynopis znalazł zresztą kilku obrońców, krytyków o dużej randze i dlatego ją wydają. Przekonanie się sami, że ani nie robi „szkody politycznej”, ani rewolucji, ot, taka sobie książeczka... Jeśli wspominać o tej sprawie i jeśli w ogóle zdobywam się na tego rodzaju wynurzenia, to dla dobra nie tylko swojego, lecz i innych. Nie każdy krytyk, publikujący w czasopis-

mach, nadaje się na recenzenta wydawniczego, inaczej się osądza dzieło opublikowane, a inaczej trzeba podchodzić do maszynopisu, który jest jakby przeczuciem książki a nie jej ostatecznym kształtem. Do analizy gotowego dzieła wystarczy odpowiedni zasób wiedzy, ale do pisania recenzji wydawniczych trzeba mieć jeszcze coś w rodzaju intuicji krytycznej, jakiegoś „siódmego zmysłu”. I ogromne poczucie odpowiedzialności, strach przed popełnieniem błędu, świadomość, że ma się w ręku los książki, decyzje o jej publikowaniu lub nie. I jeszcze jedno jest przerażające w naszej praktyce wydawniczej. Poszczególne wydawnictwa tylko z rzadka mają własnych recenzentów, ale zazwyczaj korzystają z ogólnokrajowej, że tak ją nazwę — „puli recenzentkiej”. Pamiętam jak przed laty usiłowałem wydać swój „Worek judaszów”, powieść, która miała później dwa wydania, została sfilmowana, przełożona chyba na ponad 15 języków. Złożyłem ją w Wydawnictwie MON, gdzie otrzymała negatywną recenzję Wandy Leopold. Przekazałem ją do „Iskier”, gdzie otrzymała negatywną opinię Wandy Leopold. Przekazałem ją do „Czytelnika”, gdzie znowu otrzymała negatywną ocenę Wandy Leopold. Wtedy już się zdenerwowałem i właśnie wówczas zainteresował Jerzy Putrament. Książkę przekazano innemu recenzentowi i ukazała się drukiem. Czy od tego czasu wiele się zmieniło? Chyba nie. Skarżył mi się nie tak dawno pewien młody poeta, że w którymś wydawnictwie nie złożyłby swego tomiku, to zawsze jako recenzent występuje ten sam poeta — krytyk, który nie lubi poetyki uprawianej przez owego młodzika i zawsze ten tomik odrzuca.

Wojna między pisarzami i krytykami jest chyba odwieczna i będzie tak długo trwała, dopóki na świecie będzie choć jeden pisarz i jeden krytyk.

To nieprawda. Nie ma żadnej wojny, a co najwyżej potyczki. Trzeba być sprawiedliwym i powiedzieć wyraźnie, że bez krytyka nie ma i pisarza. Osobiście paru krytykom i recenzentom zawdzięczam bardzo wiele. Bo w rezultacie to oni zdecydowali, że maszynopis, tak potraktowany przez jednego, jednak ukaże się drukiem. Podobnie jak byli pisarze, którzy zdecydowali, że nigdy niczego nie opublikują, tak byli pisarze, którzy mi pomogli drukować. Mam w domu recenzję, w której pewien krytyk na pięciu stronach maszynopisu w 38 punktach wylicza popełnione przeze mnie błędy rzeczowe i stylistyczne i kończy: „być może autor zechce skorzystać z moich uwag. Jeśli zaś — będę bardzo rad. Niezależnie od tego proponuję wydać książkę szybko i w dużym nakładzie”. Mam wielki szacunek do tego człowieka. Za te 800 czy też 1000 zł., bo tyle chyba otrzymuje recenzent, ten człowiek przez parę dni pracował nad moim maszynopisem, prał moje „brudy” tekstowe. Myślicie może, że to jakiś gorliwy prowincjonalny recenzent, który chciał sobie zaskarbić zaufanie wydawcy swoją solidnością? Nie. To współczesny czołowy i bardzo surowy krytyk. Diabelnie złośliwy w swoich publikacjach prasowych. Ale ani cienia tej złośliwości nie znajdziecie w jego recenzjach wewnętrznych, wydawniczych, bo on ma świadomość, że książka opublikowana w pewnym sensie sama się broni, natomiast maszynopis to jeszcze nie książka, to żywy bezbronny organizm. Żadną sztuką jest kopnąć czy zdeptać maszynopis. Nawet nikt się o tym nie dowie... A tak na marginesie, kto chce uprawiać zawód pisarza, musi mieć świadomość, że literatura jednak przypomina pobożowisko, gdzie leżą trupy, są wspaniałe grobowce, jęczą ranni, a zwycięzcy wnoszą wesole okrzyki. Kto się ból duchów i upiorów niech nie chodzi nocą na cmentarz.

Ale literatura, jak wspominałem uprzednio, przypomina trochę zabawę w „ciuciubabkę”, albo „totołotka”. Masz pięć czy sześć trafień albo zwykłą „trójkę”, albo nic. Jednym słowem powodzenie literackie to w pewnym sensie sprawa szczęścia. Nagle trafiasz na sprzyjającą falę, albo właściwy wiatr wpadł ci w żagle i jesteś wielki, potem fala rozbiła się o brzeg, wiatr ucichł, stałeś się mały, dryfujesz, zanim jakaś



nowa fala, za dwadzieścia czy pięćdziesiąt lat znowu nie wyniesie wysoko albo ostatecznie zatopi. Czy naprawdę nie można przewidzieć skąd i kiedy nadbiegnie jakaś fala, z jakiego kierunku nastąpi wiatr? Czy prognozowanie w literaturze jest czymś niemożliwym?

Meteorologowie ciągle się myślą, choć mają tak wspaniałą i nowoczesną aparaturę. Ma też i swoje instytuty badawcze oraz odpowiednie instrumenty literaturoznawstwo. Można prognozować i w literaturze, choć z wielką ostrożnością. Bardzo wiele wskazuje do prognozowania daje historia literatury, wieloletnie doświadczenie. Można się więc mylić, prognozując pogodę na dzień następny, ale z dużym prawdopodobieństwem potrafimy powiedzieć, że zimą będzie chłodno, co nie znaczy, że nastąpią straszliwe mrozy albo opady śnieżne, a latem bywa ciepło, choć to nie znaczy, że będzie upalnie czy bez deszczów. Biolodzy powiadają, że podstawowy kod genetyczny człowieka prawdopodobnie ukształtował się przed 100.000 lat, a im jakiś organizm jest lepiej skonstruowany, tym trudniej się rekonstruuje, co znaczy, że podstawowe potrzeby fizyczne i psychiczne człowieka na przestrzeni dziejów niewiele się zmieniły. Te potrzeby fizyczne i psychiczne można zinventaryzować, co też i zrobiono, szczególnie w ostatnich latach. Psychiatria, psychologia, psychoanaliza określiły, jakie są podstawowe psychiczne potrzeby człowieka, zaznaczam podstawowe, bo skala tych potrzeb jest ogromna, niemal co człowiek to jakieś dodatkowe zapotrzebowania. Literatura, a zapewne w ogóle sztuka, jest odpowiedzią na psychiczne potrzeby ludzkie, dlatego od wieków powiela te same wątki, te same sytuacje, te same konflikty, nazywa się to „archetypy”. Ale za każdym razem powiela je nieco inaczej, jakby w trochę odmiennej formie, nazywa się to „modą”, która wynika z wielu bardzo złożonych determinantów i uwarunkowań. Wiadomo, że zimą człowiekowi do poruszania się po świecie będą potrzebne buty, rekawiczki, czapka na głowie. Kształt tych rzeczy, ich kolor, surowiec z jakiego są zrobione, to sprawa mody, a ta jest związana z poziomem technologii. Nikt się nie odważy powiedzieć, z jakiego surowca i w jakim kolorze zrobione będą rekawiczki za sto lat, ale można z całą pewnością stwierdzić, że nie będą one miały sześciu palców, ponieważ człowiek nie będzie miał sześciu palców nawet za sto lat. To samo tyczy spodni czy sukienki. Nigdy nie zrobi się spodni z trzema nogawkami, bo człowiek ma tylko dwie nogi. Sukienka może być krótsza albo dłuższa, i to wszystko. Kiedy sukienka osiąga długość maksymalną, to co można prognozować? Ze nastąpi moda na krótszą sukienkę, ponieważ dłuższej już zrobić nie można. I w tym sensie potrafimy także prognozować w literaturze. Obecnie panuje moda na schizoidę, rozszczepienie, bohaterowie literaccy to schizofrenicy, szaleńcy, bo i cały świat wydaje się szalony. Codzienne informacje prasowe i agencyjne przekonują nas, że świat jest zwariowany, nielogiczny, nierozumny, więc i bohater literacki odbija te nastroje i wrażenia. Ale człowiek jest istotą, która bardzo szybko oswaja się z nowymi warunkami, albowiem jest istotą inteligentną. Całe pokolenia ludzkie potrafią żyć i spokojnie zasypiać na stokach wulkanów, choć mają świadomość, że wulkan może wybuchnąć za minutę, za godzinę, za sto lat. Tak więc ludzie powoli przyzwyczajają się do szaleństw świata, a natura każe im żyć dalej, to znaczy kochać się, zakładać rodziny, rodzić dzieci, martwić się o ich stopnie, przeżywać goręcy nieodwzajemnionej miłości itd. Nawet na wulkanie. Nawet wtedy, gdy obok strzelają terroryści, a ktoś tam informuje, że wyprodukował bombę neutronową. W człowieku wciąż tkwią te same potrzeby psychiczne, a jedną z nich jest potrzeba syntonii, czyli życia w zgodności z otaczającym go światem, nawet wówczas gdy fakty mówią, że świat jest szalony i absurdalny. Współczesny człowiek wcale nie myśli bez przerwy o tym, że grozi mu widmo zagłady atomowej, ale częściej myśli o ładniejszym smochodzie swego sąsiada, o jego ładniejszej żonie, bardziej udanych dzieciach, o ładniejszym mieszkaniu. Jakby widmo zagłady nie istniało albo po prostu on przyjmuje ten fakt tylko częścią swojej świadomości, a druga po-

graża się w syntonii. I tak, jak nie można dalej przedłużać sukienki, która już sięga ziemi, ba, wlecze się po niej, i w następnych latach nastąpi moda na jej skracanie, tak nie można już dalej pogłębiać czy rozbudowywać schizofrenicznego antybohatera. Po antypowieści i antybohaterze prognozować można znowu powieść i znowu bohatera, który odpowiadać będzie potrzebom syntonii, tkwiącej w każdym człowieku. Bo taka potrzeba nigdy nie znikła, a tylko „moda” uzewnętrzniła inne elementy różnych zapotrzebowań. Uzewnętrzniła w literaturze, co wcale nie znaczy, że w życiu. Bo w życiu ludzie w dalszym ciągu chcą czytać o nieodwzajemnionej miłości, o trójkątach małżeńskich, o kłopotach z wychowaniem dzieci itp. Współczesna schizofreniczna literatura, z antybohaterem rozdartym i rozszczępionym, za jakiś czas ustąpi, ponieważ nawet nie sili się odpowiedzieć na podstawowe pytania, które od wieków zadaje sobie człowiek: jak być szczęśliwym, na co potrzebne jest cierpienie, co to jest miłość itd. itp. Schizofreniczny antybohater nie potrafi dać żadnego „modus vivendi”, gdyż sam jest nieszczęśliwy, zagubiony, rozdarty, osamotniony, szalony, nie potrafi kochać ani nie jest kochany, gdyż w literackim skrócie „schizofrenia — to niemożność kochania”. Tymczasem do podstawowych potrzeb psychicznych człowieka należy także potrzeba autorytetu, wiary, że ktoś tam, gdzieś tam — wie, jak trzeba żyć, aby czuć się szczęśliwym. Ponieważ humanistyka, która preferuje schizofrenika, nawet nie sili się na taką odpowiedź, ludzie szukają odpowiedzi u przyrodoznawców, którzy z natury swoich badań muszą być syntoniczni. Proszę zwrócić uwagę, że nie było w Polsce pisma literackiego, które nie szczyłoby z psychiatrów, nie straszłoby psychiatrami, nie robiło z psychiatrii przedmiotu kpin i satyry. A jednocześnie, niech no się ukáže na półkach księgarskich książka jakiegos psychiatry, jak na przykład, prof. Kępińskiego — trudna, specjalistyczna książka, a ustawiają się po nią ogromne kolejki. Jakże są ostatnie bestsellery? „Zapomniany język” Fromma, „Stress okiełznany” Selye’go. „Odwrótne strona zwierciadła” Lorentza. Książki albo pisane przez przyrodoznawców albo też przez humanistów zafascynowanych przyrodoznawstwem. Albowiem wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazują, że następuje kres mody na schizofrenicznego bohatera, a będzie to związane ze strasliwą walką, która rozegra się być może jeszcze za naszego życia, a w każdym razie za życia naszych dzieci. Myślę o walce między naukami humanistycznymi i naukami przyrodoznawczymi. Wynik tej walki będzie jednoznaczny. Humanistyka wzbogaci się o wnioski ze zdobyczy przyrodoznawstwa.

Skąd ta pewność?

Znajduję ją w nieśmiały jeszcze wypowiedziach wielu artystów, wielu pisarzy, w książkach przyrodoznawców zokochanych w literaturze. Coraz więcej pisarzy zaczyna odczuwać, że ich bohaterowie są patologiczni, fałszywi, nie mają żadnego odniesienia w rzeczywistości, a co najwyżej swoje repliki posiadają w klinikach psychiatrycznych. Inni zaczynają zdawać sobie sprawę, że bohaterów zrobili z papieru. Ja także z dużą dezaprobatą spoglądam na niektóre swoje utwory, świadomy, że niosą kłamstwo, nie zostały napisane zgodnie ze współczesną wiedzą o człowieku. Tak dla własnej rozrywki próbowałem kiedyś, już tutaj w Jerswaldzie, rozprawić się z wielkimi utworami literackimi, stosując do nich wnioski i wyniki badań przyrodoznawczych. Jak alchemik przy pomocy przeróżnych chemikaliów, kwasów i zasad, usiłowałem nadgrzyć złoto. Nic z tego nie wyszło. Postacie i sytuacje zawarte w największych dziełach literackich, prawdy zawarte w tych utworach tylko potwierdziły współczesne nauki przyrodoznawcze. A te same odczynniki zastosowane wobec współczesnych utworów literackich niszczą je zupełnie, nic z nich nie zostaje, kupa głupstwa, bredni, sprzeczności, nieznamość człowieka i jego podstawowych reakcji. Dlaczego? Wydaje mi się, że po prostu wielcy pisarze brali za swych bohaterów prawdziwych ludzi, których dobrze znali, opisywali sytuacje realnie istniejące i dlatego tworzyli osobowości pełne i przekonujące.

A współcześni pisarze — wymyślają bohaterów, wymyślają sytuacje, tworzą je według swego „wizjonu”. Dam zresztą przykład z własnego podwórka. W jednym ze swych utworów opisałem kobietę, która bez najmniejszych kłopotów urodziła trójkę dzieci. Opisałem jak to nazajutrz po porodzie poszła do łóżka. Aby jakoś wyróżnić tę swoją bohaterkę z tłumy, dałem jej rude, płamienne rude włosy. Przyznaję teraz szczerze, że nigdy w życiu nie znalazłem bliżej żadnej rudej kobiety, nie śledziłem jej życia, ale czy to nie wolno pisarzowi dawać bohaterce takich włosów jakie mu się podobają? Ostatnio, w książce pewnego wielkiego położnika wyczytałem, że rude kobiety rodzą bardzo trudno. Dlaczego tak się dzieje, nie wiadomo, ale to fakt. Gdy tylko jakaś ruda kobieta pojawi się w klinice położniczej, to ordynator zawiadamia lekarzy, że będzie przy takim to a takim telefonie, bo na pewno zaczną się kłopoty. Innymi słowami, moja bohaterka powinna rodzić bardzo trudno, a już na pewno nie mogła nazajutrz po porodzie dość krowy. I natychmiast poczułem niechęć do tej swojej postaci, wymyślonej, papierowej, nieprawdziwej. Bo zapewne, gdybym obserwował życie i rodzenie jakiejś rudej kobiety, to zanotowałbym w pamięci, że miała wielkie kłopoty z rodzeniem dzieci i znalazłoby to wyraz w mojej książce. I za kilkanaście lat jakiś krytyk literacki obeznany z przyrodoznawstwem, przeczytawszy moją książkę, powiedziałby z uznaniem „Nienacki potrafił obserwować życie”. A tak powie o mnie: głupiec. Wielcy pisarze, tacy jak Homer, Tolstoj, Czechow, Gogol, Szekspir — to byli najwięksi obserwatorzy życia. Jakże byś nie wydo był ciekawostki z nauk przyrodoznawczych, z psychiatrii czy psychoanalizy, a wszystko u tych pisarzy jest tak jak trzeba, jakby byli największymi klinicznymi. Homer, Gogol, Cervantes, Dickens, Dostojewski — strzymaliby bez trudu „honoris causa” wszystkich największych Akademii Medycznych na świecie. Za wspólną prezentację przeróżnych pełnych osobowości ludzkich, czyli, jak to się nazywa w medycynie — „przypadków”. A gdy się przebywa wśród współczesnych pisarzy, to aż strach zapalić papierosa, bo a nuż spłoną ich wymyśleni, papierowi bohaterowie...

Prognozuję więc na najbliższą przyszłość walkę poglądów między przyrodoznawstwem i humanistyką? To doskonały temat do żartów, ponieważ prorocy we współczesnym świecie zawsze są śmieszni. Może należałoby raczej powiedzieć: istnieje konieczność humanizacji nauk przyrodoznawczych i wzbogacania humanistyki o osiągnięcia nauk przyrodoznawczych?

Można i tak, ale to niczego nie zmienia. Wielki etolog, laureat Nagrody Nobla, Konrad Lorentz pisze o konieczności „rozebrania muru” między humanistyką i przyrodoznawstwem, dodaje jednak, że „nie odbędzie się to bez oporu” przedstawicielci obydwu tych dziedzin. Czyli innymi słowami też wspomina o walce. Ja przed 5-ciu laty napisałem swój esej „Czy schizofrenizacja literatury”, w którym o tej sprawie wyraźnie wspominałem, przed 2-ma laty ten esej opublikowałem. Konrad Lorentz swą książkę chyba napisał znacznie wcześniej, ale jej wtedy jeszcze nie czytałem. Po prostu przecucie tego co nastąpi, co jest koniecznością, ma jednocześnie wielu ludzi, którzy interesują się sztuką, a nieobce im są osiągnięcia nauk przyrodoznawczych. To będzie walka. Nieprzypadkowo tak ostro zaatakował młody krytyk moja ostatnią książkę. Dla niego są w niej tylko „wytłoki intelektualne”. Bo jeśli przyjmę, że napisałem o sprawach słusznie i rzeczowo, to znaczy, że całe jego dotychczasowe wykształcenie jest nic niewarte i wcale nieprzydatne do badań literackich. Czy ktoś uwierzy, że kol. Mętrak, Breza albo Kalużyński raptem w zupełnie odmienny sposób zaczną podchodzić do takich zjawisk jak literatura czy film, to znaczy zdecydują się przekreślić cały swój dotychczasowy dorobek i zaczną pisać inaczej? To nieprawdopodobne. W gruncie rzeczy trzeba by napisać od nowa całą historię literatury, na nowo przeanalizować dzieła literackie, zbadać je przy pomocy innego klucza. Nikt



się na to nie zgodzi bez oporu. Konrad Lorentz tak pisze w książce „Odwrotna strona zwierciadła”:

„Postępujący upadek naszej kultury ma w sposób tak oczywisty charakter patologiczny, nosi tak oczywiste cechy choroby ludzkiego ducha, że w rezultacie trzeba kategorycznie domagać się, by kultura i duch poddane zostały badaniom, w których pytania zadawać się będzie tak, jak pytania nauki lekarskiej”.

I dalej:

„Aby znaleźć stosowne przeciwdziałanie, potrzebny jest przyrodoznawczy wgląd w przyczyny tych patologicznych zjawisk, co wymaga przebicia muru, rozdzielającego przyrodoznawstwo od humanistyki w miejscu, które bronione jest przez obydwie strony”.

I dalej:

„W obozie filozofów za bluźnierstwo uważa się wyrażenie banalnej prawdy, że również człowiek, jak wszystkie istoty żywe, wyposażony jest w sposoby zachowania nabyte w toku filogenezy i ustalone dziedzicznie. Z drugiej strony, wielu przyrodników okazuje niezrozumienie i lekceważenie niemal otwarte, gdy ktoś zaczyna badania tak, jak tego wymaga przedmiot etologii, od obserwacji i opisu”.

Taką próbą przebicia muru na naszym gruncie jest moja powieść „Uwodźciel”. Spróbowałem w niej spojrzeć na bohatera literackiego, na rzeczywistość

zawartą w utworach literackich tak, jak patrzy lekarz. Czy to mi się udało, tego oczywiście nie wiem. Bo zarazem chciałem, aby był to utwór literacki, po prostu powieść z eseistycznymi partiami. Dla niektórych, jak wspomniałem, okazał się to niestrawny „cocktail”.

O co chodzi w gruncie rzeczy? Co to w praktyce znaczy, pytać w sprawach kultury tak jak pytają nauki lekarskie?

Jest to zagadnienie dość złożone, ale postaram się je wyłożyć możliwie prosto. Otóż każdy utwór literacki, niezależnie od tego czy jest to baśń, czy też tzw. utwór realistyczny, posiada własną rzeczywistość biologiczno-społeczną. Powołuje ją do istnienia twórca. Oto, na przykład, świat baśni, siedmiomilowych butów, domków z piernika, latających dywanów, źródeł z wodą życia, lampą Aladyna itd. itp. Gdy przyjrzymy się każdej baśni, okaże się, że ma ona własną rzeczywistość biologiczno-społeczną, bohaterowie są zmęczeni, odczuwają łaknienie i pragnienie, bywają nieśmiertelni, ale zarazem mają takie miejsce, w które może przeniknąć śmierć, a powołując do życia zdola nie każda woda ze strumienia, ale tylko z jednego źródła. Cudowne buty mogą przynieść na siedem mil, ale nie potrafią tego zrobić na mil dziesięć, przy pomocy tych butów nie można zdobyć pożywienia, do tego celu służy „stoliczku nakryj się”, ale przy pomocy tego stoliczka nie można latać, bo do tego celu służy latający dywan. Innymi słowy, nawet w baśniach, tworcach wspaniałej i z pozorów niczym nie okiełznanej fantazji, dostrzegamy surowe prawa obowiązujące fantastyczną rzeczywistość. Są to prawa biologiczne i społeczne, bo baśń jest specyficznym odbiciem prawdziwej rzeczywistości, w której właśnie obowiązują prawa przyrody i prawa społeczne. To samo tyczy utworów kreacyjnych, derywacyjnych, w których człowiek może nagle zmienić się, na przykład, w kreta. Ale stawszy się kretem musi żyć po krecemu, a nie jak wieloryb czy słoń, obowiązuje go „krecia” rzeczywistość biologiczno-społeczna, grozi jego życiu bocian itd. Przyjawszy jakieś założenie, autor musi pozostawać wiernym temu założeniu, działać tylko w jego ramach. Tyczy to również autorów i utworów, które wprost odzwierciedlają otaczającą nas rzeczywistość biologiczno-społeczną. A więc ruda bohaterka musi rodzić z trudnością, bo taka jest nasza rzeczywistość, bohater niski i gruby, jednym słowem pykniek nie może zachować się jak typ leptosomiczny, cyklotymik nie może na jednej stronie utworu zachowywać się jak schizotypik albo typ dysplastyczny itd itp, bo jest to sprzeczne z naszą wiedzą o człowieku. Każdy człowiek ma bowiem konkretną osobowość i postępuje zgodnie z tą swoją osobowością, tak jak grobla usytuowana jest wedle stawu. Przyjęto a priori założenie, że każdy człowiek jest zagadką, tajemnicą, może raz postępować tak, raz ślask, a raz inaczej. Otóż to nie jest aż takłe pewne. Są zagadki dla „Świerszczyka” i są zagadki dla czasopisma „Problemy”. Zagadki prezentowane przez współczesną literaturę są zagadkami na poziomie „Świerszczyka”, albo w ogóle zagadkami nie są, ponieważ wszystko tam zostało pomieszczone, poplątane. Egzystencjaliści a także, co tu ukrywać, wulgarni, socjologizujący marksiści przyjęli założenie, że każdy człowiek w określonych warunkach społecznych może zostać zbrodniarzem. To nieprawda. W obozach koncentracyjnych byli i kapo i ojciec Kolbe. Te same warunki społeczne mogą stworzyć i mordercę, i świętego. Decyduje osobowość człowieka, którą to, rzecz jasna, ukształtowały jakieś warunki biologiczne i społeczne. Ale o tym właśnie w książkach ani słowa. Na przykład bohater popełnia zbrodnię, zabija z miłości swoją kochankę, powodowany zazdrością, bo go zdradziła. Co to znaczy pytać tak, jak pytają nauki lekarskie? Chcąc zrozumieć czyn tego człowieka — bo przecież nie każdy człowiek zabija swoją kochankę, dlatego, że go zdradziła — i autor, i krytyk musi zadać utworowi literackiemu pytanie wzięte z nauk lekarskich: ile lat miał bohater? Na jakie choroby zakaźne chorował w dzieciństwie? Jak wyglądało jego życie

erotyczne, jakie matryce kształtowały jego osobowość w dzieciństwie, w okresie dojrzewania, na co umarli lub na co chorują jego rodzice, rodzeństwo, jakie czytał lektury, które z tych lektur wywarły na nim wrażenie, jakie miał przeżycia wstrząsające itd. itp. Tych pytań jest wiele. Jeśli utwór jest pełny, doskonały, wielki, to znajdziecie wszystkie odpowiedzi i wówczas staje przed wami jakaś konkretna osobowość, ukształtowana w taki sposób, że w pewnej sytuacji zdolna była do zbrodni w afekcie. Ale jeżeli tych odpowiedzi brakuje? Jeśli nawet sam autor nie wie ile lat ma jego bohater, a jednocześnie każe nam wierzyć, że on postąpił tak jak postąpił, choć równie dobrze mógł zrobić inaczej? Jeszcze gorzej bywa, gdy autor buduje jakąś konkretną osobowość, a potem dla artystycznego efektu każe bohaterowi popełnić czyn sprzeczny z tą osobowością — bo „człowiek jest zagadką”. Otóż nie każdy chce wierzyć w takie zagadki. Czyny sprzeczne z osobowością bohatera może on popełnić tylko przy pewnych określonych zaburzeniach psychicznych. Ale o tym także wówczas należy wspomnieć.

W ilu utworach współczesnych autor — dla ułatwienia sobie sytuacji bohatera — „przyszywa” mu dowolny zawód, na przykład, robi go lekarzem. Zapomina, że lekarz to nie tylko zawód, to także pewien specyficzny sposób widzenia świata. I oto lekarz w tym utworze zachowuje się i patrzy na świat tak jak murarz. Czy wyobrażacie sobie oficera dochodzeniowego z MO, który siedząc w restauracji z kochanką słyszy od niej, że właśnie w tym czasie tuż za ścianą mordują bezbronną staruszkę i powiada do swojej kochanki: no cóż, takie jest życie, wypijmy jeszcze po jednym? A przecież ów autor przedstawił nam podobną sytuację. Kochanka zwierza mu się ze strasznej choroby, na którą zapadła, a on powiada do niej „wypijmy jeszcze po jednym, chodźmy tańczyć”. Bo to nie lekarz, to po prostu lekarz literacki, lekarz z papieru, bohaterowi został zawód „przydany”, tak jak ja przydałem rude włosy swojej bohaterce. Bez żadnego zarzucenia świadczam, że jestem w stanie odebrać prawdę wielu obecnie drukowanym utworom literackim, uznanym za wspinał się przez krytykę, jeśli tym utworom zadam pytanie wzięte z nauk lekarskich. I wykształceni ludzie, a jest ich coraz więcej — kpią sobie z tych książek, kupują je coraz rzadziej. Bo autorzy okazują się mniej wykształceni od swoich czytelników. Nie widzę też powodu, aby w dalszym ciągu lekarze, biolodzy, genetycy, w ogóle przyrodnicy urządzali sobie „Nagrywania z literatury”, traktowali nas jak nieuków, którzy nie znają podstawowych mechanizmów ludzkiego ciała, ludzkiego postępowania. Dlatego, powtarzam, ta walka musi się odbyć i doprowadzić do humanizacji przyrodoznawstwa i wzbogacenia humanistyki o osiągnięcia nauk przyrodniczych.

A czy nie można stwierdzić, że prawda w utworze literackim nie ma znaczenia? Henryk Sienkiewicz popełnił wiele błędów historycznych, nie potrafił odróżnić główni mieczy od rękodzieli, a przecież jest ciągle czytany, nikomu te błędy nie przeszkadzają.

To jest kolejny mój współczesnej krytyki. Henryk Sienkiewicz nie jest już autorem tak bardzo czytany jak kiedyś, między innymi z powodu swoich błędów. Na żadnym spotkaniu autorskim nie usłyszałem od młodzieży w wieku 12—18 lat, aby ich najulubieńszym autorem był Sienkiewicz. Nawet filmy nie przyniosły renesansu jego twórczości. Czytają go ludzie starsi, albo ludzie, którzy mają niewielką wiedzę historyczną, a ta w naszym społeczeństwie jest stosunkowo niska, stąd jeszcze poczytność tych utworów w pewnych kręgach. Ale młody człowiek, który na lekcji historii uczy się czego innego, niż to mówi Sienkiewicz, (a literaturę w tym wieku traktuje się bardzo serio) — zżyma się, gdy przystępuje do lektury „Trylogii”. Mam w domu kilka prac naturalnych, zaczynających się od słów: „Henryk Sienkiewicz był wielkim pisarzem, pisał bardzo pięknie po polsku, ale nie miał pojęcia o historii”. I tu na-

stępuje wylizanka, że nie było „świętego obrazu” w Częstochowie podczas obrony Jasnej Góry, że legenda o obronie Częstochowy zrodziła się znacznie później, a więc nie mogła nikogo „zagrazać do walki”, że Jarema Wiśniowiecki wcale nie był tak szlachetną i kryształową postacią i m. in. to on spowodował bunt na Ukrainie itd. itp. To samo tyczy i autorów książek „dorosłych” i przygodowych. Młodzi ludzie tak długo wielbią Karola Maya, dopóki ktoś im nie udowodni, że jest w nim wiele kłamstw. Jeśli utwór literacki niesie ewidentny fałsz, jego oddziaływanie artystyczne staje się nikłe, a w każdym razie mniejsze. Mogę napisać, że wehikuł Pana Samochodzika nie tylko jeździ, pływa po wodzie, ale nawet latał w powietrzu, choć to nieprawdopodobne, ale jeśli wspomnę, że żagłówka typu cadet miała nie 5 metrów, ale 15 metrów kwadratowych żagla, to mnie przestaną czytać. Bo wielu moich czytelników pływa na cadetach i wie dobrze, jaki ona ma żagiel. Powieść przygodowa, powieść detektywistyczna, powieść z cyklu płaszczyzna może nieść z sobą wiele nieprawdopodobieństw, pod warunkiem, że autor przestrzega konwencji, nie wychodzi poza nią. Sienkiewicz jako „zwierciadło epoki rycerskiej” nie przetrzyma próby czasu, bo nastąpił ogromny wzrost nauk historycznych. Wyjdzie zwycięsko jako autor powieści przygodowych i przetrwa nas wszystkich. Istota sprawy polega, moim zdaniem, na owym konsekwentnym przestrzeganiu określonej rzeczywistości biologiczno-społecznej. Amstronng był na Księżycu, ale ludzie będą czytać także powieść Vernego z podróży na Księżyc jego bohaterów. Dwie różne rzeczywistości biologiczno-społeczne. Jedną rzeczywistość nie przeszkadza drugiej. Ale próba przemieszczenia rzeczywistości może skończyć się niefortunnie. „Trylogia” potraktowana jako utwór wypełniony rzeczywistością biologiczno-społeczną powieści przygodowej zachwyca, można podziwiać jak Sienkiewicz przestrzega reguł gry, którą stworzył. Ale jako powieść, która ma dać nam realistyczny opis tamtych lat, budzić musi irytację. Przestaje się dostrzegać piękno języka, sytuacji, rysunek postaci. Nie wierzę w piękno bez prawdy. Jakiejś prawdy. Nawet najbardziej fantastycznej, ale przecież prawdy, to znaczy ujętej w ramy określonej rzeczywistości biologiczno-społecznej. Prof. Julian Krzyżanowski, który był czytelnikiem moich „Samochodzików” przysłał mi kiedyś list, w którym w powieści „Tajemnica tajemnic” wykazał mi kilka potknięć i radził mi je usunąć w następnym wydaniu. Czyżby nie wiedział, że postać Pana Samochodzika i jego wehikuł są wymyślone, a więc wszystko inne także może być wymyślone? Otóż nie. Fantastyczny bohater i fantastyczny wehikuł poruszają się w określonej, istniejącej realnie rzeczywistości i muszą być z nią zgodni. Wehikuł musi pobierać paliwo na stacjach benzynowych, bohater musi jeść i spać, bitwa pod Grunwaldem musiała się odbyć w roku 1410.

Czy w ostatnich latach były na naszym gruncie jakieś próby zaatakowania, używając sformułowań Lorenza, „obozy filozofów” przez przyrodznawców lub na odwrót?

Były. I to wielokrotnie. Ale uwzględnić należy fakt, że tak na pozór ów „obóz filozofów” jest silniejszy, dysponując po prostu lepszymi piórami i środkami oddziaływania, co sprawia, że walka odbywa się nie „po rycersku”, nie na „udeptanej ziemi”. Wszystkie pisma literackie mają zdecydowanie wstręt do przyrodoznawstwa i jakiegokolwiek naruszenie „status quo” ze strony przyrodznawców budzi w nich wściekłość. Przypomnijmy sobie hałas, jaki wywołał atak dr Jankowskiego na psychiatrę i jego książkę „Psychiatria humanistyczna”. Nasze pisma literackie prześcigały się w pochwałach dla tej książki, nie dopuszczały do głosu oponentów. Mojego artykułu przeciw tej książce nie wydrukowano, wypowiedzi innych albo skracano ordynarnie albo przekręcano. A książka miała ewidentne błędy, potknięcia, fakty były w niej naciągnięte do góry przyciętych tez. Dr Jankowski jak przystało na człowieka, który przeszedł do „obozy filozofów”, odrzucił filogenezę i dziedziczność, chorych

psychicznie nakazywał leczyć przy pomocy psychoterapii i psychodramów, głosił tezę, że to psychiatrzy stworzyli choroby psychiczne. Paradoxs polegał na tym, że psychiatrzy wcale nie odrzucają psychoterapii, ale po prostu nie mają na to miejsca, wolnych łóżek, sal szpitalnych, czasu, za mało jest szpitali, i o tym chcieli mówić, ale nie dopuszczono ich do głosu, tylko ogłoszono wielkie „hurra” humanistyki. Spowodowało to jedynie „zwarcie szeregow”, jak to się mówi, u psychiatrów, zamknęli się oni w swych twierdzeniach i klinikach, gdzie dalej leczą tak jak leczyli. Pytałem kilku wielkich polskich psychiatrów, czemu nie zabierają głosu, czemu nie polemizują z dr Jankowskim i jego zwolennikami. W odpowiedzi widziałem wzruszenie ramion i słyszałem stwierdzenie, że to „poniżej godności lekarskiej polemizować z książką, w której są błędy, jakie może popełnić student drugiego roku medycyny”. Owa obawa przed naruszeniem własnej godności, a także i niechęć do pióra, bo nie każdy potrafi pisać z taką swadą i taką siłą przekonywania jak Kępiński, spowodowały, że na placu boju został z pozoru zwycięzki dr Jankowski. I takie wrażenie odniosła poważna część społeczeństwa. To szkodziło dla społeczeństwa, ale w niczym nie przeszkadza psychiatrom, bo jak mówił mi jeden z nich: „gdy komuś ktoś naprawdę zachoruje w rodzinie, to biegnie nie do dr Jankowskiego, aby go leczył przy pomocy quizów, ale do nas, gdzie jest tak mało wolnych łóżek i leczymy farmakologicznie”. W książce dr Jankowskiego tylko raz i to od niechcienia wspomina się prof. Kępińskiego i jego prace. Dlaczego? Bo on nie pasuje do jego tezy. Otóż polska psychiatria zawsze była humanistyczną i nie zaczęła się od dr Jankowskiego, ale właśnie od Kępińskiego, który choć był wielkim humanistą, to znał biologiczne podstawy psychiatrii i stosował także tymoleptyki. Drugą batalię przeciw naukom lekarskim rozpoczął tygodnik „Literatura” drukując przekład pracy prof. Dąbrowskiego pt. „Psychonerwica nie jest chorobą”. Tym razem dopuszczono do głosu dwóch poważnych oponentów i wynik pozostał na „zero”. Albowiem niezależnie od tego czy psychonerwica jest jednostką nozologiczną, posiada swoją etiologię, w wielu wypadkach leczyć ją trzeba jak chorobę, choć to może tylko pewien „stan ducha”. I znowu nie doszło do przebiccia muru między humanistyką i przyrodoznawstwem, nawet nie rozebrano jednej cegły. Dodać warto, że obóz przyrodoznawców dysponuje tylko pismami fachowymi, wąsko wyspecjalizowanymi, do których nie zagląda laik. I to może nawet dobrze. W swoim czasie czytałem w takim czasopiśmie analizy pewnego krakowskiego psychiatry — utworów Szekspira. Włos mi się zjeżył, autor poruszał się w temacie jak stoł w sklepie z porcelaną, w każdym geście bohaterów znajdował jakieś dewiacje. Jakże to szczęście, że nie mieli tych analiz w ręku nasi felietoniści literacy, bo na dłuższy czas już nikt nie próbowałby podobnych analiz. Ale czy to znaczy, że ich robić nie należy? Ze nie należy zdobyć współczesnej wiedzy o człowieku stosować i do literatury? Tylko że winni to robić ludzie doskonale obznajomieni z przedmiotem, przyrodznawcy rozkocharni w literaturze, bo w przeciwnym razie skutecznym może być odwrotny. Nie tylko że nie rozbija muru, ale zbuduje jeszcze silniejszy i wyższy, jak to było po publikacji dr Jankowskiego. Pamiętam, że po moim esej: „Czy schizofrenizacja literatury”, który był atakiem na „obóz filozofów” — zapadła grobowa cisza. Może napisany był zbyt specjalistycznym językiem? Teraz następną próbą stanie się „Uwodziciel”. Jeśli nie zostanie przemilczany, może nareszcie nastąpi jakaś polaryzacja

stanowisk, może uda się skruszyć choć jedną cegłę, może spodoba się moja analiza utworów Camusa, Prusa, Kunczewiczowej i innych, choć to tylko ostrożne próby, aby nie zrazić sobie i jednych, i drugich. Na to, aby powiedzieć o tych sprawach pełnym głosem, jest jeszcze trochę za wcześnie, grunt u nas nie jest do tego przygotowany.

Wróćmy jednak jeszcze do owych jedenastu lat samotności, domu z kratami w oknach, życiu „od siebie”, ale w tak wielkiej izolacji. Niektórzy mówią, że jestem człowiekiem bardzo bogatym, ba, jednym z grona najlepiej zarabiających pisarzy w kraju, mam do swego użytku dwa samochody, jacht, własną przystań...

Skończmy wreszcie z banalnym pojęciem, że żyć „od siebie” to znaczy żyć w tłumie, w środowisku, w otoczeniu gości i przyjaciół. Nie ma pisarza, który żyłby tylko „ku sobie”. Pisarstwo nieodrodnie związane jest z życiem dla innych, dla czytelników. Pisarz może osobiście nie rozmawiać z żadnym innym człowiekiem przez 20 lat, ważne jest, aby przemawiał swoimi książkami. A co do mej zamożności? Dwóch samochodów, jachtu, przystani, mojej pozycji społecznej? Jaka jest prawda? Czy prawda nie wygląda tak, że żyję w domu bez elementarnych wygód, bez wody bieżącej, kanalizacji, bez centralnego ogrzewania? Ze muszę przynieść sobie — mróz czy deszcz — kubełek wody ze studni, a ubikację mam w małym domku za stodołą. Piszę zziębniętymi palcami. Aby ogrzać choć trochę swoją pracownię, muszę sobie narąbać drzewa, rozpalić, ciągle dokładać do pieca czy kominka? Gdzie są te moje luksusy, które posiada każdy pisarz w Olsztynie czy w Warszawie? Gdzie są te moje ordery, odznaczenia, wyróżnienia? Nie ma ich. Jest tylko nieustanny wysiłek fizyczny, który chwilami odbiera chęć do pisania, do pracy twórczej. Dwa samochody? No tak, ale tu zimą są takie śniegi, że muszę mieć także wóz z przednim i tylnym napędem. Inaczej nie kupię sobie chleba, czy puszki konserw, bo do najbliższego małego miasteczka ze sklepami mam 15 km drogi przez lasy. Muszę też mieć czym przywieźć sobie drzewa, węgla, ziemniaków. Tym samochodem nie pojedę jednak latem ani do Olsztyna ani do Warszawy, a czasami muszę gdzieś jechać w różnych sprawach. Codzienne bardzo trudne życie, nieustanny wysiłek u człowieka zagrożonego ciągle utratą wzroku. Ale dzięki tym trudom, temu prymitywnemu życiu posiadam jeden komfort: mogę pisać kiedy chcę i jak chcę, nie muszę klękać przed wydawcą, biagać go o zaliczki, nie muszę prosić nikogo o stypendia, mogę pracować nad książką tak długo jak długo uważam to za stosowne, nawet i 5 lat. Tyle bowiem lat pisałem „Uwodziciela”, tyle chyba zajmie mi nowa powieść o życiu w wiosce podobnej do mojej, „Raz w roku w Skiroławkach”. Wzorowana jest na starych „kalendarzach mazurskich” i dodatkach do nich, t.zw. „Księgach rocznych”. Fragment tej powieści załączam. Cóż mogę do tego dodać? Te jedenaście lat pobytu tutaj, to był najszczęśliwszy okres w moim życiu. I może będzie dalej szczęśliwy? Historia tej ziemi mówi, że od wieków znajdowali na niej azyl przeróżni ludzie, których gdzie indziej połamano. Może dlatego historia tej ziemi jest tak bogata i różnorodna. Mnie też przyjęła ta ziemia bardzo gościnnie, szybko przestałem się tu czuć obcy i znalazłem swój azyl. A czy może być coś wspanialszego dla pisarza?

Zbigniew NIENACKI